GŁOS NARODU

A. P. CZECHOW.

KAPITAŃSKI MUNDUR.

Wschodzące słońce chmurzyło się na miasteczko powiatowe, koguty zaczynały przeciągać się na grzędach, a w szynku Ryłkina znajdowali się już goście. Było ich trzech: krawiec Mierkułow, policjant Żratwa i woźny z urzędu podatkowego Smiechunow. Wszyscy trzej byli podchmieleni.

— Nie gadaj! Nie gadaj! — wołał Mierkułow, trzymając policjanta za guzik. — Urząd cywilny, jeśli się weźmie jaki wyższy naprzykład, zawsze wedle krawieckiego wyrozumienia utrze nosa jenerałowi. Weźmy naprzykład, choćby szambelana... Cóż to za człowiek? Jakiego stanu? A porachuj tylko... Cztery łokcie najlepszego sukna, z fabryki Prundela i synów, guziki, złoty kołnierz, białe spodnie ze złotym lampasem, całe piersi w złocie, na kołnierzu, na rękawach i na klapach blask! Teraz znowu, gdy się szyje dla panów ochmistrzów dworu, koniuszych, mistrzów ceremonij i innych ministerjów... To cóż ty sobie myślisz? Pamiętam, szyło się raz mundur dla ochmistrza hrabiego Andrzeja Siemionyczа Wonliarewskiego. Był to mundur — nie lada jaki! Bierzesz go w ręce, a pulsa w żyłkach — cyk! cyk! Prawdziwych panów, jak się dla nich szyje, wara niepokoić. Wziąłeś miarę — to szyj, chodzić zaś do przymierzania i przyfasonowania pod żadnym pozorem nie wolno. Jeśli się masz za porządnego krawca, to odrazu uszyj wedle miary... Skocz z dzwonnicy, ale traf do butów — ot, jak jest! A koło nas, bracie mój, pamiętam jak dzisiaj, był korpus żandarmski... Majster nasz, Osip Faklicz, wybierał z pośród żandarmów najodpowiedniejszych, najbardziej z figury do zamawiającego podobnych, do przymiarki. Więc niby tego... wybraliśmy do hrabiowskiego munduru jednego odpowiedniego żandarma. Sprowadziliśmy go... Wdziewaj, hołoto, i czuj!.. Pociecha! Wdział mundur, szamerowany na piersiach — no i cóż! Zgłupiał, powiadam ci, zaczął drżeć i zemdlał...

— A dla sprawników szyliście? — zapytał Smiechunow.

— Także mi dostojnik! W Petersburgu tych sprawników tylu, co psów się włóczy... Tutaj im czapkują, a tam — „na bok, czego się pchasz?“ Szyliśmy dla panów wojskowych i dla osób, należących do pierwszych czterech klas. Osoba osobie nie równa... Jeśliś, dajmy na to, piątej klasy, to bagatela z ciebie... Przyjdziesz za tydzień i wszystko gotowe — bo oprócz kołnierza i wyszycia na rękawach nic niema... Jeśli zaś obstaluje kto z czwartej klasy, albo z trzeciej, albo li też naprzykład z drugiej, to już majster wszystkich popędza i posyła do żandarmskiego korpusu. Szyliśmy raz, bracie mój, dla konsula perskiego. Naszyliśmy mu na piersiach i na plecach złotych obwarzanków za półtora tysiąca. Myśleliśmy, że nie odda, ale nie, zapłacił... W Petersburgu nawet i Tatarzy mają w sobie szlachetność. Mierkułow rozprawiał długo. O godzinie dziewiątej, pod wpływem wspomnień, rozpłakał się i począł gorzko utyskiwać na los, który go zagnał do mieściny, zamieszkiwanej tylko przez kupców i mieszczan. Policjant odprowadził już dwóch delikwentów na policję, woźny chodził dwa razy pocztę i do urzędu podatkowego, obaj powrócili do szynku, a Mierkułow ciągle jeszcze biadał. W południe stał przed djaczkiem, bił się pięścią w piersi i wołał:

— Nie chcę szyć dla chamów! Nie przystaję! W Petersburgu własnoręcznie szyłem dla barona Szpucela i dla panów oficerów! Odejdź precz odemnie, ty długopola pało, żeby cię oczy moje nie widziały! Wynoś się!

— Za wiele trzymasz o sobie, Trifonie Pantaleiczu, przekonywał go djak. Choć jesteś artystą w swoim cechu, aleś nie powinien zapominać o Bogu i religii. Arjusz także za

wiele o sobie rozumiał, jako i ty, to też zmarł paskudną śmiercią. Oj, umrzesz i ty!

— To i umrę. Wolę umrzeć, niż szyć żupany!

— Jest tu mój potępieniec? — dał się słyszeć za drzwiami głos niewieści, poczem wkroczyła do szynku żona Mierkułowa, Aksinia, stara baba z zakasanymi rękawami i przepasanym brzuchem. — Gdzież jest ten bałwan? — mówiła rozglądając się po szynkownianych — Chodź do domu! A żebyś pękł...

— Jakiś oficer pyta o ciebie!

Co za oficer? — wytrzeszczył oczy Mieczysław.

— A licho go tam wie! Powiada, że przyszedł z obstalunkiem.

Mierkułow podrapał się wszystkiemi pięcioma palcami po nosie, co zwykł był czynić wówczas, gdy chciał wyrazić zdziwienie i mruknął:

— Szaleju się baba objadła... Przez piętnaście lat nie widziałem szlachetnej osoby, aż tu naraz dzisiaj, w postny dzień — oficer z obstalunkiem! Hm... Chyba pójdę zobaczyć...

Mierkułow wyszedł z szynku i zataczając się powlókł się do domu... Żona nie okłamała go. U progu swej izby ujrzał kapitana Urczajewa, zarządzającego kancelaryą miejscoweg nacczelnika wojennego.

— A ty się gdzie włóczysz? — odezwał się kapitan na powitanie. — Całą godzinę czekam... Potrafisz uszyć mi mundur?

— Wielmożny panie... Boże mój! — bąkał Mierkułow, zrywając pospiesznie czapkę z głowy razem z kosmykiem włosów. — Wielmożny panie! A czy mnie to pierwszyzna? Ach, Boże drogi! Szyłem dla barona Szpucela... dla Edwarda Karłycza... pan porucznik Zembułatow do tej pory winien mi jeszcze dziesięć rubli. Ach! Babo, podajże przecie stołek dla wielmożnego pana... Niech mię Bóg skarze... Czy rozkaże pan wziąć miarę, czy też mam szyć tak, wedle miary na oko?

— No... pamiętaj! Sukno ma być twoje i żeby było wszystko gotowe za tydzień... Ile chcesz?

— Proszę łaski wielmożnego pana... Co też wielmożny pan mówi — uśmiechnął się Mierkułow. — A czy ja to kupiec jestem, czy co?... Przecie ja wiem, jak trzeba postępować z panami... Jakeśmy szyli dla konsula perskiego, to także nie było żadnej ugody...

Wziąwszy miarę i odprowadziwszy kapitana do drzwi, Mierkułow stał przez całą godzinę na środku izby i patrzał osłupiałym wzrokiem na żonę. Nie mógł jeszcze uwierzyć...

— No-no-no... a to proszę ja ciebie zdarzenie! — mruknął wreszcie. — Zkądże ja tu wezmę pieniędzy na sukno? Aksinio, daj mi kochanko, te pieniądze, cośmy to wzięli za krowę!

Aksinia pokazała mu figę i splunęła.

Niedługo potem wzięła się do wywijania ożogiem, tłukła o głowę mężowską garnki, szarpała go za brodę, wylatywała na ulicę i wrzeszczała: „Ratujcie, kto w Boga wierzy — Zabił!“... Protesty te wszakże nie odniosły skutku. Nazajutrz rano Aksinia leżała w łóżku i ukrywała siniaki przed czeladnikami, podczas gdy Mierkułow chodził po sklepach i kłócąc się z kupcami, wybierał sukno.

Dla krawca nastała nowa era. Budząc się rano i rozglądając się zaspanym wzrokiem po swym małym światku, nie spluwał już ze złością... A co jeszcze dziwniejsza, przestał chodzić do szynku i zajął się robotą. Pomodliwszy się po cichu, przywdziewał wielkie okulary w stalowej oprawie, marszczył się i z wielkiem namaszczeniem rozkładał sukno na stole.

Po upływie tygodnia mundur był wykończony. Wyprasowawszy go, Mierkułow wyszedł z nim na ulicę i powiesił na płocie, aby go wyczyścić: co zdejmie z niego niteczkę, to odchodzi na jaki sążeń od płotu i przypatruje się mundurowi, przymrużając oczy. Czyszczenie trwało ze dwie godziny.

— Bieda z tymi panami! — mówił do przechodniów. — Nie jestem już w możności uczynić więcej, spracowałem się! Uczeni i delikatni — ale trudno im dogodzić!

Nazajutrz, po wyczyszczeniu munduru, Mierkułow namaściwszy włosy masłem, uczesał się, zawinął mundur w nowy perkal i udał się do kapitana.

— Nie mam czasu gadać z tobą gamoniu — odpowiadał zaczepiającym go po drodze znajomym. — Czy nie widzisz, że niosę mundur do kapitana?

W pół godziny potem powrócił od kapitana.

— No, winszuję ci, Trifonie Pantalejewiczu, musiałeś odebrać zapłatę — powitała go Aksinia, śmiejąc się wesoło.

— Ot, głupiaś! — odpowiedział jej małżonek. — Czy to prawdziwi panowie płacą odrazu? Przecież to nie żaden kupiec, żeby wziął i zaraz pieniądze wywalił! Głupia...

Przez dwa dni Mierkułow leżał na piecu, nie pił i nie jadł, oddając się uczuciu zadowolenia, zupełnie tak samo, jak Herkules po dokonaniu czynów bohaterskich. Trzeciego dnia wyruszył po zapłatę.

— Czy wielmożny pan wstał? — zapytał szeptem ordynansa, wślizgując się do przedpokoju.

Otrzymawszy przeczącą odpowiedź stanął jak słup u drzwi i czekał.

— Wal go w kark! Powiedz, że w sobotę! — usłyszał po długiem wyczekiwaniu chrapliwą odpowiedź kapitana.

To samo usłyszał w sobotę, jednę i drugą... przez cały miesiąc chodził do kapitana, przesiadywał godzinami w przedpokoju, lecz zamiast pieniędzy otrzymywał propozycję wynoszenia się do djabła i ponownego przybycia w sobotę. Nie rozpaczał, nie narzekał, owszem... Utył nawet... Długie wyczekiwanie w przedpokoju podobało mu się bardzo, „wal go w kark“ dźwięczało mu w uszach jak słodka melodja.

— Zaraz poznać osobę szlachetnego pochodzenia! — zachwycał się za każdym razem, gdy powracał od kapitana do domu. — Wszyscy nasi w Petersburgu byli tacy sami...

Do końca życia swego zgodziłby się na chodzenie do kapitana i wyczekiwanie w przedpokoju, gdyby nie Aksinia, która żądała ciągle zwrotu pieniędzy, pobranych za krowę.

— Przyniosłeś pieniądze? — zapytywała go za każdym razem. — Nie? Cóż ty ze mną wyprawiasz, sobako? Co? Mitka, gdzie jest ożóg?

Pewnego dnia pod wieczór, Mierkułow powracał z rynku, niosąc na plecach wór węgli. Za nim szła Aksinia.

— Już ja ci dam w domu na orzechy! Poczekaj! — mruczała baba, myśląc o pieniądzach, otrzymanych za sprzedaną krowę i zabranych przez męża.

Nagle Mierkułow stanął jak wryty i wydał okrzyk radości. Z restauracji "Wesele", koło której przechodzili, wybiegł szybko jakiś pan w cylindrze, z twarzą czerwoną i pijanemi oczyma. Za nim pędził kapitan Urczajew, z kijem w ręku, bez czapki, rozczochrany i wyszarzany. Nowy mundur jego był ubielony kredą; jedna szlifa była przekrzywiona, koło tylnej kieszeni brakowało trzech guzików.

— Już ja cię zmuszę do gry, szulerze! — krzyczał kapitan, wywijając zamaszyście kijem i ocierając spocone czoło. — Ja ciebie nauczę, protobestjo! jak grać z porządnymi ludźmi!

— Patrzajno, stara! — szepnął Mierkułow, trącając żonę łokciem i śmiejąc się. — Zaraz poznać szlachetnego człowieka. Kupiec jak sobie co sprawi na swój chamski grzbiet, to nigdy nie zniszczy, dziesięć lat będzie nosił, a ten już zniszczył całkiem swój mundur! Nowy zdałby mu się!

— Idź-że upomnij się o pieniądze! — zawołała Aksinia. — Ruszajże się!

— Gadasz, głupia! Na ulicy? Ani mi się śni...

Pomimo oporu Mierkułowa, żona zmusiła go do zbliżenia się ku rozwścieczonemu kapitanowi i do upomnienia się o pieniądze.

— Paszoł won! — odpowiedział mu kapitan. Uprzykrzyłeś mi się!

— Ja, wielmożny panie, rozumiem... Jabym nie tego... ale żona... głupie stworzenie... Sam wielmożny pan wie, jaki to rozum w głowie u tego babskiego rodu...

— Powiedziałem ci już raz, żeś mi się uprzykrzył! ryknął kapitan, wytrzeszczając na niego zamgłone, pijane oczy. — Pójdź precz!

— Rozumiem, wielmożny panie! Ale ja niby, względem baby, bo proszę łaski pana, te pieniądze to za krowę... Sprzedaliśmy ją O. Judaszowi...

— Aaa... będziesz mi tu jeszcze gadał, bałwanie!

Kapitan zamierzył się i — trach! Z pleców Mierkułowa posypały się węgle, z oczów iskry, a czapka wypadła mu z rąk... Aksinia oniemiała... Stała przez minutę bez ruchu, jak żona Lotowa, zamieniona w słup soli, potem posunęła się naprzód, stanęła przed mężem i zajrzała mu w twarz... Ku wielkiemu jej zdziwieniu, na obliczu Mierkułowa jaśniał błogi uśmiech, w rozpromienionych zaś oczach błyszczały łzy...

— Zaraz poznać prawdziwych panów! — mruczał pod nosem. — Ludzie delikatni, uczeni... Całkiem tak samo bywało... w to samo nawet miejsce dostawało mi się, gdym nosił szubę baronowi Szpucelowi, Edwardowi Karłyczowi... Rozmachnął się i — trach! I pan porucznik Zembułatow taksamo... Przyszedłem do niego, a on zrywa się i wali z całej siły... Eh! minęły dobre czasy, żonko! Ty nie rozumiesz tego wcale! Przeszły już te czasy!

Mierkułow pozbierał węgiel, machnął ręką i powlókł się do domu.

Tłum. z ros. G. W.

Opowiadanie Kalifornijczyka.

Dwadzieścia pięć lat temu wybrałem się raz pieszo do osady Stanisława... Szedłem z kilofem i łopatą, w nadziei zrobienia po drodze szczęśliwego odkrycia. Przepłukałem tu i owdzie trochę błota, ale nic nie znalazłem. Okolica była rozkoszna: lesista, balsamiczna, strojna w kwiaty i zieleń. Niegdyś mieszkali tu ludzie, lecz poszli w inne strony i raj osamotniał. Na pewnem miejscu, gdzie istniało przedtem przemysłowe miasto z bankami, dziennikami, towarzystwem ubezpieczeń, z burmistrzem i radnymi, została tylko wielka przestrzeń pokryta gęstą trawą, bez najmniejszego śladu, że tu kiedyś kipiało życie. W pobliżu, koło drogi, można było jeszcze gdzieniegdzie dostrzedz ładne wille, lecz tak pokryte winem i różami iż nawet drzwi i okna ginęły w liściach: nieomylny znak, że właściciele dawno opuścili swoje sadyby, nie mając ich komu sprzedać lub darować.

Od czasu do czasu, w odległości kilku mil angielskich od siebie, natrafiałeś na samotne domki pierwszych górników, którzy tu przybyli w czasie gorączki złota. W rzadkich wypadkach niektóre z tych siedlisk były dotąd zamieszkałe; w takim razie mogłeś być pewnym, że kto je zamieszkuje, ten je wybudował i że jest to człowiek, który zerwał ze światem; nieszczęśliwy, który nie chce znać swoich krewnych i przyjaciół, a szuka tylko spokoju...

Dużo było podówczas w Kalifornii tych żyjących zmarłych, prześladowanych losem biedaków, siwych i zgrzybiałych w czterdziestym roku życia, których tajemne myśli składały się z samych gorzkich wspomnień i żalu za zmarnowanem życiem.

Samotny kraj! Żadnego odgłosu w tem przestworzu lasów i trawy, tylko leniwy chrobot owadów.

Odżyłem, gdy w parę godzin po południu ujrzałem pierwszą ludzką istotę.

Był to człowiek, mogący liczyć około czterdziestu pięciu lat; stał przed różowym, schludnym domkiem i podlewał kwiaty starannie utrzymanego ogródka. Zaprosił mnie do siebie i według kalifornijskiego zwyczaju kazał mi dom swój uważać za mój własny.

Było dla mnie prawdziwą rozkoszą dostać się do ludzkiego mieszkania, po tylu tygodniach spędzonych w budach skleconych z desek, o podłogach nigdy nie mytych. Leżąc na twardym tapczanie, jedząc z cynowych naczyń słoninę, fasolę i pijąc tylko kawę czarną, a za całą ozdobę mieszkania mając jedynie wycinki z ilustrowanych pism, czułem się niewymownie szczęśliwym, gdym się dostał do czystego pokoju, gdym zobaczył tapety na ścianach, białe firanki w oknach i wymyte szyby... Nigdybym dawniej nie uwierzył, że dywan, zrobiony z gałganków, może taką sprawić uciechę; że patarafki, muszelki, szydełkowe robótki i te rozmaite bezimienne drobiazgi, które ręka kobieca rozrzuca w niewiadomym celu po wszystkich kątach mieszkania, mogą kogoś do tego stopnia uradować... Rozrzewnienie, jakie czułem w sercu, odbiło się na mojej twarzy.

Gospodarz zauważył je i był widocznie z tego bardzo zadowolony; zauważył je tak wyraźnie, iż odpowiedział mi, jakbym go był pytał:

— Wszystko jej dzieło — rzekł — wszystko sama zrobiła, każdy kawałek — i objął pokój pełnem zachwytu i dumy spojrzeniem.

Zaprowadził mnie potem do sypialnego pokoju, żebym sobie umył ręce; do takiego sypialnego pokoju, jakiego nie widziałem od lat: białe firanki, dywan na podłodze, gotowalnia ze źwierciadłem, z poduszką na szpilki i wytwornymi przyrządami toaletowymi; w kącie stała olbrzymia umywalnia z miednicą i dzbankiem porcelanowym, z mydłem w puzderku i z tuzinem ręczników tak białych i cienkich, iż używając ich, miało się uczucie, jakby jakiegoś spełnionego świętokradztwa.

Skończywszy toaletę, począłem się przypatrywać po kolei fotografiom i sztychom, porozwieszanym na ścianach; odczułem, niezrozumiałą dla mnie drogą, ale z całą świadomością, że gospodarz, który śledził za mną oczyma, pragnie, ażebym przypatrzył się jednemu obrazowi... Kilkakrotnie przeszedłem mimo, gdy naraz odgadłem, że mam go przed sobą... jakieś mistyczne fale, bijące od mojego towarzysza, dały mi znać, że się nie mylę...

— Wybuchnął wesołym śmiechem, zatarł ręce, wykrzyknął:

— Trafiłeś pan! wiedziałem, że pan trafisz! Tak! to jej portret!

Przystąpiłem bliżej do ściany i spostrzegłem to, czego dotąd nie zauważyłem: dagerotyp w ramkach orzechowych. Była to słodka dziewczęcia twarzyczka, najpiękniejsza, jaką kiedykolwiek widziałem w życiu; tak mi się przynajmniej wówczas zdawało.

— Dziewiętnaście lat teraz ukończyła — rzekł mój nowy znajomy, gdym odłożył fotografię — portret zrobiony w dzień naszego ślubu. Gdybyś ją pan samą zobaczył! ah! zaczekaj pan u mnie aż do powrotu!

— A gdzie jest teraz pańska żona? Kiedy wróci?

— Wyjechała dwa tygodnie temu, do swojej rodziny, która mieszka o kilkadziesiąt mil stąd.

— Kiedy jej pan oczekuje?

— Dzisiaj mamy środę. Wróci w sobotę wieczorem zapewne koło dziewiątej.

— Bardzo mi przykro, bo już mnie wtedy tu nie będzie — rzekłem z prawdziwym żalem.

— Nie będzie pana! Dlaczego ma pana nie być? jej byłoby to bardzo bolesne!

— Jejby było bolesne! temu ślicznemu stworzeniu. Ah! gdyby ona sama mi to powtórzyła! Czułem taką tęsknotę zobaczenia jej, takie nienasycone pragnienie i taki smutek zarazem, że począłem sam się o siebie obawiać. Powiedziałem sobie w duchu: ucieknę stąd, bo jak ją żywą zobaczę, nie będę miał więcej w duszy spokoju.

— Widzisz pan ona lubi gości, lubi ludzi, którzy znają świat i umieją opowiadać; takich ludzi, jak pan. To jej jedyna przyjemność w tem ustroniu. Ona także zna wszystko i umie szczebiotać jak ptaszek, a książek tyle przeczytała, że się pan zdziwi. Nie odchodź pan! To tak mało, parę dni! A jej to będzie bardzo przykro!

Słyszałem jego słowa i rozumiałem je, ale tak byłem pogrążony w marzeniach, ze nie spostrzegłem jak się wydalił z pokoju. Zauważyłem go dopiero jak wrócił, trzymając w ręku dagerotyp.

— Teraz panie — rzekł pokazując mi go — powiedz jej w oczy, że mogłeś zostać u nas, a nie chciałeś. Moje postanowienie nie wytrzymało próby. Wieczór przepędziliśmy paląc fajki i rozmawiając o różnych rzeczach, ale głównie o niej. Dawno tak mile nie przepędziłem czasu. Czwartek upłynął niepostrzeżenie. Gdy się zmierzchło, przybył z sąsiedztwa poszukiwacz złota, jeden z tych nieszczęśliwych pionierów, zestarzałych w zawodnem rzemiośle.

Był to wysoki, tęgi mężczyzna, o siwiejących włosach i ogorzałej twarzy. Powitał nas serdecznie w krótkich, poważnych słowach:

— Przejeżdżałem właśnie — rzekł — i wstąpiłem, żeby się dowiedzieć, jak się nasza pani miewa i kiedy wróci? Czy miał pan od niej jakie wiadomości?

— Miałem list; jeżeli pan chce, to go panu przeczytam, panie Tomaszu.

— Spodziewam się, że chcę, jeżeli to nie będzie niedyskrecją z mojej strony, panie Henryku

— Henryk przyniósł list i przeprosił nas, że opuści niektóre ustępy czysto prywatnej natury; potem przeczytał nam poczciwe pismo, pogodne, spokojne i takie ujmujące zarazem! Na końcu był dopisek pełen serdecznych słów dla pp. Tomasza, Józefa, Karola i innych przyjaciół domu i sąsiadów.

Kiedy skończył, spojrzał na Tomasza i zawołał:

— Znowu pana przyłapałem! Odejm pan ręce od twarzy i pozwól mi spojrzeć sobie w oczy! Pan zawsze zakrywa się rękami jak czytam jej listy. Ja jej to powiem...

— O nie rób pan tego... Ja się starzeję, widzi pan, i lada przeciwność mnie drażni, do krzyku

prawie. Myślałem, że powinnaby już sama tu być, a pan masz tylko list.

— Co panu znowu do głowy strzeliło? Przecież zapowiada się dopiero na sobotę!

— Tak! tak! na sobotę! wiem o tem, nie rozumiem, co mi się stało. My tu wszyscy przyjedziemy na jej spotkanie, ale teraz muszę iść, bywaj pan zdrów!

— W piątek popołudniu przybył inny weteran drużyny górników i powiedział, że się wszyscy cieszą na sobotnią zabawę, jeżeli tylko pani Henrykowa nie będzie bardzo zmęczona podróżą.

— Zmęczona? Ona zmęczona! Słuchajcie go! Przecież wy wiecie, że onaby sześć tygodni nie usiadła, aby was tylko zabawić.

Gdy się pan Józef dowiedział, że jest list od niej, prosił, aby mu go przeczytano. Serdeczne słowa do niego się odnoszące złamały go zupełnie; tłómaczył się także, że jest już tak stary i słaby, iż lada wzmianka od niej wzrusza go do łez.

— O! Boże, jak nam jej brakuje! — westchnął — w sobotę popołudniu — wyciągnąłem zegarek i spojrzałem która godzina. Henryk t› zauważył i zapytał patrząc na mnie przestraszonym wzrokiem:

— Pan chyba nie myśli, że ona już tu być powinna?

Zmieszało mnie to powiedzenie, ale przymusiłem się do uśmiechu i odparłem, że to mój zwyczaj, gdy na kogo czekam, patrzeć na zeg rek. Lecz to mu nie wystarczało i od tego czasu począł okazywać niepokój. Cztery razy wyprowadzał mnie na pagórek stojący przy drodze, z którego można było objąć daleką przestrzeń — tam stawał, przysłaniał oczy ręką i patrzał. Kilkakrotnie powiedział: Jestem niespokojny, jestem bardzo niespokojny. Coś mi mówi, że wydarzyło się nieszczęście.

Jak pan sądzi, musiało jej się coś przytrafić? Gniewało mnie to dziecinne postępowanie, aż w końcu straciłem cierpliwość i odpowiedziałem mu bardzo szorstko. To go widocznie do reszty przygnębiło; taki był potem cichy i smutny, że mi się ogromnie żal zrobiło i byłem na siebie zły, za niepotrzebnie wypowiedziane ostre słowa.

Byłem też bardzo rad panu Karolowi, który przybył pod wieczór ze swojej kopalni i począł rozmawiać o liście i o przygotowaniach na przyjęcie żony Henryka. Karol przemawiał raz poraz bardzo serdecznie, żeby wlać otuchę w serce przyjaciela:

— Wypadek? jaki wypadek mógłby się jej zdarzyć? Na co się próżno trapić? Cóż panu pisze w liście? Czyż nie mówi, że jest zdrową i że tu przybędzie wieczorem około dziewiątej? Czy była kiedy nie słowną? Zakładam się, że będzie tutaj na oznaczoną godzinę; to jest tak pewne, jak to, że pan się urodziłeś! Chodź pan, zajmijmy się przygotowaniami; nie wiele czasu zostało.

Wkrótce powrócili Józef i Tomasz i zaraz zabraliśmy się do przystrajania domu kwiatami.

Około dziewiątej, powiedzieli górnicy, że przynieśli skrzypce, basetlę i klarnet i że muszą je nastroić, bo niebawem przybędzie młodzież na tańce.

To trwało do dziewiątej. Henryk stał we drzwiach z oczami przykutemi do drogi, i widać było jak nim owładnął niepokoj.

Parę razy przyjaciele kładli mu do ręki kieliszek, aby wypił zdrowie żony, a teraz przysunął się do niego p. Tomasz, mówiąc!

— No napijmy się wszyscy za zdrowie naszej pani, bo lada chwila nadjedzie.

P. Józef przyniósł kieliszki i częstował towarzystwo. Sięgnąłem po jeden z dwóch pozostałych kieliszków, gdy mi szepnął: „zostaw ten, weź drugi“.

Zrobiłem jak kazał. Henrykowi dostało się ostatnie naczynie. Dziewiąta biła w chwili, gdy je wypróżnił. Słuchał uderzeń zegara, nagle pobladł śmiertelnie i przemówił do nas niknącym głosem:

— Słabo mi, pomóżcie mi się położyć.

Przenieśliśmy go na sofę. Począł majaczyć:

— Słyszę odgłos kopyt końskich, czy przyjaciela?

Jeden z weteranów odpowiedział:

— To był Jakób Parrisch, który przyjechał donieść, że się towarzystwo opóźni; koń jej zakulał, ale i tak przybędzie, najwyżej za jakie pół godziny.

— O jaki ja jestem szczęśliwy, nic się złego chwała Bogu, nie przytrafiło — szepnął Henryk.

Ledwo wymówił te słowa, kiedy zasnął głęboko. Przyjaciele zdjęli z niego pospiesznie ubranie i wpakowali go do łóżka, w tym samym pokoju, w którym myłem sobie ręce. Zamknęli za nim drzwi i powrócili do mnie. Zdawało mi się, że się zabierają do wyjścia.

— Nie idźcie panowie — rzekłem — co ja zrobię, jak przyjedzie, ja jej nie znam.

— Ona jak przyjedzie? O! biedactwo! Ona nie żyje od dziewiętnastu lat!

— Umarła!

— Albo gorzej! Pojechała odwiedzić rodzinę, wpół roku po zamążpójściu i w drodze do domu, pewnej soboty wieczorem, Indjanie porwali ją pięć mil od tego miejsca. Od tego czasu, nikt o niej więcej nie słyszał.

— A on stracił zmysły?

— Od tej chwili nigdy nie przyszedł do siebie. Ale prawdziwie jest chorym dopiero, gdy nadchodzi pora roku, w której się jej spodziewał. Wtedy zaczynamy go odwiedzać na parę dni naprzód, pytamy się czy niema wiadomości od żony, a z nadejściem soboty przychodzimy wszyscy razem i robimy przygotowania na jej przyjęcie. Powtarzamy to od dziewiętnastu lat. Z początku było nas dwudziestu siedmiu, nie rachując dziewcząt; teraz zostało nas wszystkich trzech, a z dziewcząt niema ani jednej. Daliśmy mu lekarstwo na sen, inaczej dostałby napadu szaleństwa Obecnie wszystko zażegnane aż do przyszłego roku: Henrykowi zdaje się, że mieszka z żoną, aż dopiero

na trzy lub cztery dni przed rocznicą nieszczęścia, zaczyna jej wyglądać, wyciąga ten poczciwy stary list, a my prosimy, aby nam go przeczytał. O Boże! to była anielska istota.

Mark Twain.

CONON DOYLE.

TAJEMNICA BASKERVILLE'ÓW

Dziwne przygody Sherlocka Holmes.

Przekład z angielskiego.

EUGENII ŻMIJEWSKIEJ.

(Ciąg dalszy).

— Panie Holmes — rzekła wreszcie — ten człowiek obiecywał, że mnie poślubi, jeśli uzyskam rozwód. Okłamał mnie, zdradził. Wyobrażałam sobie, że on działa dla mnie — teraz widzę, że byłam tylko narzędziem w jego ręku. Nie potrzebuję dochowywać mu tajemnicy, skoro on nie dochował mi wiary!.. Nie myślę go osłaniać przed skutkami jego niecnych czynów. Pytaj mnie pan, o co tylko chcesz — nic nie zataję. Przysięgam panu, iż pisząc ten list, nie wiedziałam, że narażam na niebezpieczeństwo sir Karola, który był dla mnie lepszym od rodzonego ojca.

— Wierzę pani święcie — odparł Sherlock Holmes. — Opowiadanie byłoby dla pani bardzo przykrem, więc może lepiej ja powiem, jak się rzeczy miały, a pani będzie prostowała niedokładności lub omyłki. Wszak Stapleton radził pani napisać ten list?

— Podyktował mi go.

— Przypuszczam, że skłonił panią, dowodząc, że sir Karol chętnie poniesie wydatki na rozwód.

— Nieinaczej.

— A gdy pani list posłałaś, odradził jej przybyć na miejsce umówione.

— Mówił, że mu ambicja nie pozwala, aby człowiek obcy łożył na taki cel, i że choć sam niezamożny, poświęci ostatni grosz na usunięcie przeszkód, zagradzających nam drogę do szczęścia.

— A potem wyczytałaś pani wiadomość o śmierci w gazecie miejscowej?

— Tak.

— Następnie kazał pani przysiądz, że nie wspomnisz nikomu o swym liście do sir Karola?

— Mówił, że śmierć jest tajemniczą i że mogliby mnie podejrzewać o zabójstwo. Wystraszył mnie takim argumentem i zmusił do milczenia.

— A czy pani miałaś jakie wątpliwości?

Milczała długo, wreszcie rzekła:

— Być może, bo go znam. Ale gdyby dochował mi wiary, nie zdradziłabym go nigdy.

— Bądźcobądź, wyszłaś pani z tej sprawy obronną ręką — przekładał jej Holmes. — Miałaś go pani w swej mocy, a jednak żyjesz. A teraz pożegnamy panią. Do widzenia niebawem!

* * *

— Nasza sprawa zaczyna się zaokrąglać — mówił Holmes, gdy w parę minut potem staliśmy na dworcu, oczekując londyńskiego pociągu. — Jest to najdziwniejsza zbrodnia, jaka się zdarzyła w naszem stuleciu. Badacze kryminalogii pamiętają podobny wypadek w roku 1866 w Grodnie, a drugi w północnej Karolinie w roku 1878, ale obecny fakt ma swoje odrębności. I teraz nawet, po wykryciu szczegółów, nie wiem jeszcze, w jaki sposób Stapleton przyczynił się do śmierci sir Karola. Mam jednak nadzieję, że to się wyświetli przed północą.

Kurjer londyński wbiegł na peron z sykiem i gwizdem. Z wagonu pierwszej klasy wyskoczył mężczyzna krępy, o twarzy wesołej. Powitał Holmesa z takiem uszanowaniem, jak oficer głównodowodzącego armią.

— Czy jest co nowego? — spytał.

— Zdaje się, że obecna sprawa narobi hałasu — odparł mój przyjaciel, zacierając ręce — Mamy dwie godziny wolne. Trzeba zjeść obiad i nabrać sił do działania. Po obiedzie przejdziemy się po łące; świeże powietrze wyruguje z twoich płuc nagromadzoną w nich mgłę londyńską. Wszak jesteś tu poraz pierwszy? Mam nadzieję, że nie zapomnisz tych odwiedzin...

XIV.

Pies Baskervillów.

Jedną z wad Sherlocka Holmes — jeśli można to nazwać wadą — jest skrytość. Nie zwykł wyjawiać swoich planów nikomu, aż do ostatniej chwili. Jest to wynikiem jego natury despotycznej i samodzielnej, ale i próżności potrosze. Lubi wprowadzać w zdumienie i zachwyt nad swym geniuszem wywiadowczym. Zresztą ta skrytość płynie może i z ostrożności, która nie pozwala mu wypowiadać się przed nikim. Bądźcobądź, jest to przykrem dla otoczenia.

Niecierpliwiło mnie to często, ale nigdy do tego stopnia, jak owego wieczora. Czekało nas zadanie trudne i niebezpieczne, mieliśmy działać wspólnie, a jednak Holmes nie wyznaczał nam roli. Mówiliśmy o przedmiotach pobocznych, nie mających nic wspólnego ze sprawą.

Mój przyjaciel wynajął na dworcu dorożkę i kazał się wieźć do Baskerville-Hall. Wysiedliśmy przy bramie. Zapłacił dorożkarza i odprawił go do Coombe-Tracey, poczem kazał nam iść ze sobą w stronę Merripit-House.

— Czy masz broń? — zapytał Lestrada.

Nie rozstaję się z rewolwerem — odparł detektyw. — We dnie jest jak przylepiony do kieszeni moich spodni, a w nocy — do mojej poduszki.

— To dobrze. Mój przyjaciel i ja jesteśmy w zbrojnem pogotowiu.

— Cóż pan rozkażesz?

— Czekać.

— Ha! nie jest to miła robota, zwłaszcza wśród takiego otoczenia. Cóż za pustkowie!.. — mówił Lestrade, oglądając się dokoła.

— Widzisz te światełka w oddali? To Merripit-House, cel naszej wycieczki. Teraz musimy iść na palcach i mówić szeptem.

O dwieście yardów przed domem, Sherlock kazał nam stanąć.

— Poczekamy tutaj — szepnął. — Te kamienie na prawo stanowią wyborną osłonę. Zaczaisz się za nimi, Lestrade. Wszak byłeś w tym domu, Watson? Rozkład mieszkania jest ci znany. Widzisz okno oświetlone?

— To od kuchni.

— A tamto, po drugiej stronie?

— To od jadalnego pokoju.

— Proszę cię, zakradnij się pod te okna i zobacz, co oni tam robią, ale na miłość Boską, ostrożnie, żeby nie zmiarkowali, że są śledzeni.

Stąpałem powoli, na palcach; zgięty wpół, doszedłem do miejsca, skąd było widać okno jadalni.

Przy okrągłym stole siedziało dwóch mężczyzn, sir Henryk i Stapleton.

Byli zwróceni do mnie profilem. Obaj palili cygara i popijali kawę. Przed nimi stała butelka z winem. Stapleton rozprawiał żywo, baronet był blady i raztargniony. Może trapiła go myśl o samotnym powrocie przez to fatalne trzęsawisko.

Po chwili Stapleton wstał i wyszedł z pokoju. Sir Henryk wypił haust kawy i zaciągnął się dymem cygara. Usłyszałem skrzypnięcie drzwi i chrzęst żwiru, ktoś szedł po drugiej stronie muru. Wyjrzałem ostrożnie i zobaczyłem naturalistę. Stąpał powoli, zakradał się jakby, wreszcie stanął u drzwi bocznej oficyny. Klucz zazgrzytał w zamku, po chwili doszedł mnie dziwny odgłos, jakby warczenie. Stapleton zabawił parę minut i wrócił do domu. Widziałem, jak wszedł do pokoju, w którym pozostawił był sir Henryka.

Wróciłem do moich towarzyszów, aby zdać raport Holmesowi.

— A więc powiadasz, że dama jest nieobecna?— pytał, wysłuchawszy mnie do końca.

— Niema jej w jadalnym pokoju.

— We wszystkich innych pokojach ciemno? Gdzie też się ukrywa?..

Nad trzęsawiskiem unosiły się białe opary; księżyc, świecący jasno na niebie, nie zdołał ich rozproszyć. Cała okolica wydawała się posypana śniegiem.

— Przeklęta mgła! mruczał Holmes. — Ogarnie nas niebawem, a wtedy wszystko stracone. To jedno może mi szyki pomieszać. Ale mam nadzieję, że nie będziemy już długo czekali. Dziesiąta. Sir Henryk wyjdzie lada chwila. Ta mgła stanowi o jego życiu...

Noc była jasna; poza obrębem oparów widać było Merripit-House. Tylko dwa okna były oświecone. W tem światło zgasło w kuchni; pozostało tylko w pokoju jadalnym, w którym morderca i jego ofiara siedzieli przy kieliszkach i cygarach. A tymczasem mgła spowijała coraz szerszą przestrzeń, muskała już dom Stapletona. Zniknął w niej mur na drugim końcu ogrodu, czubki drzew wynurzały się jeszcze z poza oparów. Holmes przestępował z nogi na nogę. Był zaniepokojony.

— Jeżeli nie wyjdzie za kwadrans, cała robota na nic. Za pół godziny nie będziemy mogli dojrzeć rąk własnych...

Ukląkł i przyłożył ucho do ziemi.

— Dzięki Bogu! słyszę jego kroki — szepnął.

Rozległo się miarowe stąpanie. Kroki stawały się coraz głośniejsze i wyraźniejsze, dochodziły do nas przez mgłę, jak przez zasłonę, i oto nagle pojawił się ten, na którego czekaliśmy.

Przeszedł ścieżką obok nas i podążył dalej, a idąc, oglądał się na prawo i lewo, z widocznym niepokojem.

— Pst! — szepnął Holmes. — Baczność!

Mgła była już o pięćdziesiąt yardów przed nami. Wytężyliśmy wzrok, czując, że wyłoni się z niej coś strasznego. Spojrzałem na Holmesa. Był blady, wpatrywał się w jeden punkt, usta mu drgały. W chwili tej Lestrade krzyknął i padł tworzą do ziemi. Zerwałem się, nie wypuszczając pistoletu z garści, choć krew zamarła mi w żyłach na widok strasznego zjawiska, które wyskoczyło z za mgły.

Był to pies olbrzymi, czarny, jak wegiel, ale nie pies zwyczajny. Jego rozwarta paszcza ziała ogniem, z oczu sypały się iskry, cały pysk był jakby w płomieniach. Najstraszniejsza zmora nie mogła być straszniejszą od tego piekielnego zwierza, wyłaniającego się ku nam z ciemności.

Dziki zwierz biegł śladami naszego przyjaciela w podskokach.

Byliśmy tak przerażeni tem zjawiskiem, że nie wystrzeliliśmy w porę. Pies przebiegł mimo nas. Holmes i ja daliśmy ognia równocześnie; zwierzę, ugodzone widocznie, jęknęło przeraźliwie, lecz nie zatrzymało się w swym szalonym pościgu.

Sir Henryk, który już był daleko, obejrzał się; widziałem w blasku księżyca, że stanął przerażony i podniósł ręce do góry.

Jęk psa rozproszył nasze przesądne obawy. Jeśli kula raniła zwierzę, a więc było nie widmem, lecz rzeczywistością — mogliśmy je zabić.

W życiu mojem nie widziałem nikogo, pędzącego tak szybko, jak Holmes owej nocy. Biegłem za nim, ale mnie wyprzedził. Słyszeliśmy przed sobą warczenie psa i wołanie o pomoc sir Henryka. Nadbiegłem w chwili, gdy rozjuszone zwierzę rzuciło się na swą ofiarę, powaliło ją na ziemię i wyszczerzało zęby. Z dzikiem wyciem i jękiem bólu dogorywający pies rzucił się na baroneta.

Skoczyłem naprzód i przyłożyłem psu pistolet do łba, ale wystrzał był zbyteczny. Czworonożny prześladowca rodu Baskervillów już nie żył...

Nachyliliśmy się nad sir Henrykiem. Mój przyjaciel odetchnął swobodniej, widząc, że nasza pomoc przyszła w porę. Lestrade wlał baronetowi do ust parę kropel wódki. Sir Henryk spojrzał na nas przerażonemi oczyma.

— Co to? — szepnął. — Co to takiego?..

— Zabiliśmy złego ducha rodu Baskervillów. Już nie ożyje!.. — zawołał Holmes.

U stóp naszych leżało olbrzymie psisko, wielkości młodej lwicy; był to mieszaniec wyżła i brytana. Zagasłe oczy świeciły jeszcze, zakrwawiony pysk ział ogniem.

Powiodłem ręką po łbie kudłatym — moje palce zabłysły w ciemności...

— Fosfor! — rzekłem.

— Szatański pomysł! — mówił Holmes, nachylając się nad martwem zwierzem. — Przepraszam cię najmocniej, sir Henryku, że musiałem cię narazić na taki przestrach. Domyśl łem się, że wypuszczą psa, ale nie sądziłem, że go wpierw posmarują siarką, aby wydawał się piekielnym potworem...

— Ocaliłeś mi pan życie!

— Wystawiając je na niebezpieczeństwo. Czy możesz pan wstać o własnej sile?

— Dajcie mi jeszcze wódki. Tak! A teraz podtrzymajcie mnie chwilkę, bo jeszcze drżą mi nogi. Co pan teraz rozkaże?

— Przedewszystkiem musisz pan odpocząć. Jeżeli poczekasz tu na nas, odprowadzimy pana do domu.

Sir Henryk był jeszcze blady i nie mógł utrzymać się na nogach. Posadziliśmy go na kamieniu.

— A teraz do dzieła — mówił Holmes. — Każda chwila jest droga. Mamy już dowód zbrodni. chodzi jeszcze o schwytanie zbrodniarza.

Zostawiliśmy sir Henryka i podążyliśmy ku domowi Stapletona.

— Słyszał wystrzały i domyślił się, że jego „sztuka“ wyszła na jaw. Nie zastaniemy go już — mówił Holmes.

— Kto wie; gęsta mgła stłumiła zapewne huk rewolweru, a zresztą przestrzeń dość znaczna; mógł nie słyszeć.

— Sądzisz, że czekał na rezultat w domu? To go nie znasz. Ręczę, że wyszedł za psem, aby go przywołać po skończonej „robocie“. Gotówbym się założyć, że go niema w Merripit-House. Swoją drogą, przetrząśniemy dom od strychu do piwnic.

Frontowe drzwi były otwarte; weszliśmy, ku zdziwieniu starego sługi, który stał w sieni. Z wyjątkiem jadalni, wszędzie panowały ciemności, ale Holmes wziął ze stołu lampę i chodził z nią od pokoju do pokoju. Nie było nigdzie Stapletona.

Jeden z pokojów na górze był zamknięty na klucz.

— Ktoś tam jest! — zawołał Lestrade. — Słychać oddech. Proszę drzwi otworzyć!

Odpowiedział nam jęk. Holmes uderzył pięścią w klamkę; wyskoczyła, drzwi stanęły otworem. Wbiegliśmy do pokoju z pistoletami w garści.

Nie było w nim Stapletona. Oczom naszym przedstawił się dziwny i niespodziany widok.

Pokój był rodzajem muzeum; w gablotach i na ścianach były rozpięte rzadkie okazy motylów. Pośrodku pokoju był słup, postawiony tu zapewne dla podtrzymania starej belki, grożącej zawaleniem. Do tego słupa uwiązana była postać ludzka; w pierwszej chwili nie mogliśmy poznać, czy to mężczyzna, czy kobieta. Jeden ręcznik ściskał jej gardło i okręcony był naokoło słupa, drugi zakrywał dolną cześć twarzy. Cała postać była spowita w prześcieradło.

W mgnieniu oka rozerwaliśmy pęta; na ziemi u stóp naszych leżała pani Stapleton. Gardło miała sine i ślady paznogci na twarzy i ciele.

— Nędznik!.. — zawołał Holmes z oburzeniem. — Dawaj no tu flaszkę z wódką — rzekł do Lestrada. — Trzeba ją posadzić na krześle i rozcierać

Otworzyła oczy.

— Co się z nim stało? — szepnęła. — Czy uciekł?

— Nie umknie tak łatwo.

— Ja mówię nie o *nim,* ale o sir Henryku. Czy ocalony?

— Tak.

— A pies?

— Nie żyje.

Odetchnęła swobodniej.

— Dzięki Bogu! Widzicie, panowie, jak ten łotr obszedł się ze mną!..

Wysunęła ręce z rękawów, były okryte sińcami.

— Ale to najmniejsza — ciągnęła dalej. — On zdeptał moją duszę, poniżył ją... Wszystko znosiłam: osamotnienie, poniewierkę, dopóki mogłam wierzyć w jego miłość; ale i tu spotkał mnie zawód...

Wybuchła płaczem.

— Nie masz pani powodu go oszczędzać — rzekł Holmes — Powiedz nam, gdzie się ukrywa? Jeśli mu pomagałaś w złem, dopomóż nam złe powetować.

— Jedno jest tylko miejsce, w którem mógł się schronić: dawna kopalnia ołowiu, w samym środku moczarów. Tam trzymał psa na uwięzi; wiem, że robił przygotowania, aby tam się ukryć.

Holmes przysunął lampę do okna.

— Patrzcie — mówił — co za mgła. Nikt dzisiaj nie zdoła dotrzeć do Grimpen-Mire.

Klasnęła w ręce. Oczy jej zabłysły.

— On dojdzie, ale wyjść nie zdoła, bo wśród mgły nie zobaczy gałęzi, któreśmy powtykali razem, aby mu wskazywały drogę do Grimpen-Mire. Szkoda, że nie mogłam ich dzisiaj wyrwać, bo byłby na waszej łasce...

Pogoń stawała się niemożliwą, dopóki mgła nie opadnie. Tymczasem pozostawiliśmy Lestrada na stanowisku w Merripit-House, a sami wraz z sir Henrykiem wróciliśmy do Baskerville-Hall.

Niepodobna już było ukrywać przed nim historji Stapletonów. Ze spokojem przyjął wiadomość, że ta, którą pokochał, była żoną, nie siostrą owego łotra. Lecz wzruszenia tej nocy wstrząsnęły mu nerwy. Dostał gorączki. Posłaliśmy po doktora Mortimer.

Gdy baronet podźwignął się z łóżka, dla odzyskania równowagi duchowej, pod opieką tego zacnego lekarza wyruszył w podróż naokoło świata. Wrócił zdrów moralnie i fizycznie. (D. c. n.)

Nakładem Redakcji „Głosu Narodu“. Druk W. Korneckiego w Krakowie.